



FILANTROPIA KONTRA EKSPLOKACJA

Paulina Rezanowicz

Powietrze przesycił smród spalin, dym gryzł Alicję w oczy i drapał w gardle. To znak, że znów przytkały się publiczne filtry i nawet jej urządzenia nie dawały sobie rady. Biegła więc ile sił w nogach, rozpychając przechodniów. Musiała wrócić do Jedynki. Rozsunęły się stalowe drzwi. Nareszcie widno. Alicja zdjęła maskę i wzięła haust czystego powietrza. Spojrzała z obrzydzeniem na swój kombinezon – winylowy materiał pokrył się tłustym nalotem.

Strażnik obserwował ją obojętnie znad monitora. Dziewczyna poczuła się nieswojo na myśl, że mężczyzna nie ma tyle szczęścia co ona. Kiedy skończy zmianę, opuści Rataje i wróci do domu w drugiej strefie. Tej nocy będzie musiał oddychać skażonym powietrzem. Spuściła wzrok.

– Ma pan dobrą maskę i kombinezon? Zepsuły wam się filtry.

– Tak – odpowiedział. – Bractwo Słońca dba o pracowników.

Dziewczyna ruszyła spokojnie chodnikiem w stronę swojego bloku. Myślała o słowach strażnika. Zarówno zakon, jak i zamieszkująca Jedynkę rolnicza szlachta troszczyli się o nieuprzywilejowanych – o drugostrefowców pracujących w usługach i produkcji oraz o mieszkańców Trójki, którzy z ekonomicznego punktu widzenia byli jedynie ciężarem. Dlaczego więc czuła się tak podle?

Szła teraz wzdłuż wysadzonej drzewami alei, minęła zielony skwer, a potem zbudowany na złotym piasku plac zabaw, po którym biegały roześmiane dzieci arystokratów. Śnieżnobiały wieżowiec odcinał się na tle holograficznego nieba wyświetlanego na wewnętrznej powierzchni kopuły, tej, która zamykała swym obrębem Jedynkę. Dziewczyna wiedziała, że parę metrów wyżej znajduje się kolejny klosz – już bez żadnych obrazów, wyznaczający drugą strefę; a nad nim trzeci i ostatni – chroniący Trójkę, a pośrednio całe miasto.

– Znów wychodziłaś do Dwójki – przywitała ją matka, a Alicja zachodziła w głowę, czy było to pytanie, czy wyrzut. Bez słowa weszła do swojego pokoju, rzuciła się na chłodną pościel i zamknęła oczy. Ale kobieta nie dawała za wygraną.

– Chcesz umrzeć? Czy mnie wpędzić do grobu?

Dziewczyna przycisnęła dłonie do uszu. Pragnęła tylko, żeby matka już skończyła, ale ta dopiero się rozkręcała. Opowiadała o wysypkach, kaszlu i strupach, których można się było nabawić w skażonym powietrzu. Skronie Alicji pulsowały. Wiedziała o zagrożeniach, ale oprócz nich istniało coś jeszcze... W dalszych strefach albo nawet za ostatnią kopułą, na zewnątrz.



**QUASI-KRYMINALNA BAJKA O ZNIKAJĄCYCH KRZESŁACH,
DETEKTYWIE ORAZ UMYŚLOWYM ROZPRĘŻENIU**

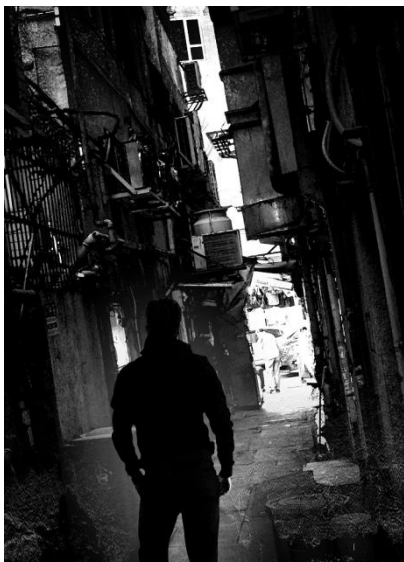
HUMANISTÓW

w XIV częściach prozą

[z wtrętem dramatycznym]

Bartłomiej Krolek

Krzesła z sal Collegium Maius zaczęły masowo ginać tuż po najdłuższym majowym weekendzie w historii. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Studenci standardowo okazywali niezwykle uprzejmy brak zainteresowania, natomiast Zarząd Uczelni stawał na głowie. Dzień w dzień zawiązywano zebrania zakładów. Największe uczelniane autorytety – ze Skąpskim i Przygodniakiem na czele – nie potrafiły żadną metodą – ani strukturalną, ani hermeneutyczną – dojść do tego, dlaczego ktoś uprowadza akurat te elementy wystroju wnętrza z budynku uczelni. Za oknami wiosna, nawet bez markownika, brała zbyt serio swój tekst dosłowny. Dni były ciepłe i lepkie. Rachunki za catering rosły szybciej niż temperatura, a atmosfera gęstniała. Zwolniono tysiącego portiera i lubiącą Travoltę panią z kadr, jednak z Polonistycznej Gilotyny spadały kolejne głowy. Niedługo znikać zaczęły również fotele z prywatnych gabinetów wykładowców. Na pierwszy ogień poszedł legendarny Tron Bakalarza – bujany fotel z wysuwanymi poręczami, wyłożony perskimi poduszkami i jedwabiem, z podstawką na nogi i uchwytem na kubek, poświęcony podobno przez samego papieża. Zdarzenie to przelało czarę goryczy. Wokół Sergiusza Bakłażana, właściciela zaginionej siedziska, zgromadził się najbardziej radykalny odłam ciała profesorskiego. Srebrnowłosi Jakobini żądali od kierownictwa „zdecydowanych kroków”. Jakich konkretnie? Nie wiedział nikt. Sprawę bagatelizowano, a odpowiedzialność za zaistniałą sytuację zrzucano na służby porządkowe, które wskutek brak punktu zaczepienia porzuciły nierozpoczęte nawet śledztwo po bardzo krótkim namyśle. Tragizm sytuacji zwiększał się z każdym brakującym krzesłem. Gdy jednak skradziono drugi z symboli poznańskiej polonistyki – Sygnet Hrabiego, Dyrekcja Instytutu przeraziła się nie na żarty i postanowiła wreszcie zatrudnić kogoś, kto na poważnie zajmie się całą sprawą. Wybór padł na byłego adepta uczelni, mającego słabość do prochowców, starych dobrych czasów i malkontenctwa, a do tego parającego się pracą quasi-detektywistyczną.



Z PRZESZŁOŚCI

Przemysław Pilarek

Nadeszły wreszcie te chłodne, jesienne dni, których chłopak bardzo nie lubił i za którymi z jakiegoś powodu tęsknił przez pozostałą część roku. Słońce nie przygrzewało tak mocno jak w lipcu, a w połowie września naprawdę czuło się, że lato odeszło bezpowrotnie. Liście opadały z drzew, podobne do wyschniętych kokonów motyli. Widząc je, miał wrażenie, że obserwuje dziadka, który tracił po kolei włosy. Dziadek wyłysiał już dawno temu, co przyjmował z równą drzewom obojętnością. W takim wieku

człowieka zapewne niewiele obchodzi, chłopak natomiast miał swoje siedemnaście lat, był szczupły, wysoki (przez co wyglądał na jeszcze chudsze) i nie było dnia, żeby nie chodził zmartwiony.

Mieszkali na obrzeżach Poznania, w dzielnicy ogródków działkowych i niskich domków, z których kominów jesienią nieustannie wydobywał się czarny, smrodliwy dym. Były to ostatnie ślady cywilizacji po tej stronie miasta. Wszędzie dalej przyroda wracała po to, co przed laty odebrali jej ludzie. Drzewa wyrastały na środku ulic, pędy krzewów owijały się wokół latarni i na wpół zawalonych budynków, drogi wyrzuszały się pod naporem korzeni, a w uchylonych na zawsze oknach pękały szyby.

Tutejsze ogródki były w większości zagracone, pełne śmieci i złomu, aż po metalowe siatki. Stały na nich beczki, meble, wraki aut pozbawione drzwi i opon, w których przesiadywały ponure wyrostki palące zielsko zbierane na mokradłach. Chłopak jak tylko mógł unikał z nimi kontaktu, ponieważ nie szczędzili mu złośliwości, a pewnego razu zagonili go na pustą parcelę, gdzie potargali mu ubranie i natarli twarz pokrzywami. Nikt nie wiedział, skąd się tu wzięli albo czy ich rodziny mieszkaly kiedyś w pobliżu. Oprócz nich w okolicy żyli wyłącznie starzy ludzie, całymi dniami wystający na progach chatek, jakby w oczekiwaniu na kogoś. Lecz nikt nie nadchodził. I tylko czasem echo odległych głosów wznosiło się pod upiornie blade niebo, na którym o świcie rozplywał się księżyc.

Ogródek dziadka leżał na uboczu, ani za duży, ani za mały, trochę zagracony. Stał tu niewielki domek z drewna, kryty papą, z dobudowaną po latach szopą na narzędzia i sprzęt ogrodniczy. Za domkiem znajdowała się stara wanienka, w której chłopak przesiadywał podczas letnich upałów, jesienią pełna zielonkawej wody pokrytej kożuchem martwych owadów. Dziadek dbał o domek i codziennie rano zamykał wąską, kamienną ścieżkę wiodącą od ganku do furtki. Odgłosy sprzątania często budziły chłopca o świcie, kiedy utrwalone we mgle promienie słońca przecinały podwórko i wpadały do pokoju przez okno.